

LIST OTWARTY.

Prawie od pięciu już lat grupa Rodaków z Londynu stara się odebrać mi dobre imię. Prześcigają się w obrzucaniu mnie błotem („staliniątko”, „czerwona gwiazda Polonii”, „Polscott24”); rzucają oszczerstwa nadające się do procesu sądowego (tajny współpracownik bezpieki TW – „Ekspresje” [Londyn] 2010, t. I, s. 204; „Ekspresje” 2011, t.II, s. 201). Na portalach internetowych pojawiały się opinie o cechach mojego charakteru (konfliktowa, wólgarna - sic!). Niektórzy publicznie kwestionują moje wykształcenie i kompetencje (na zebraniu Starszego Harcerstwa w POSK-u, w październiku 2014), odbierają mi również prawo do firmowania mojej książki *Ojczyzna literatura* znakiem OPiM („Nowy Czas” 2014, nr 3, s. 19). Dużo wypowiedzi tego rodzaju opublikował londyński „Nowy Czas”. Na wstępie zaznaczam, że nie będę polemizowała z konkretnymi artykułami, ani atakowała kogokolwiek. Nie chcę walczyć z ludźmi, ponieważ jest to sprzeczne z moją naturą. Pragnę natomiast w „Liście” opowiedzieć tę część osobistej historii, która wyzwala tyle niezdrowych emocji, niedomówień i oskarżeń.

Moje studia polonistyczne w opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej (20 lat temu WSP przemianowano na Uniwersytet Opolski), na której w roku 1978 uzyskałam stopień magistra filologii polskiej, były wyjątkowo pracowite. Już po pierwszym semestrze prowadziłam Sekcję Literatury Staropolskiej, a po roku kierowałam Kołem Naukowym Polonistów, którego opiekunem był wybitny znawca staropolszczyzny, prof. dr Marian Kaczmarek. Moje umiejętności organizacyjne i naukowe ambicje zauważyła prof. Dorota Simonides (dyrektor Instytutu Filologii Polskiej) i uznała, że jestem dobrym kandydatem na asystenta polonistyki. Jednakże na początku IV roku studiów, życzliwy mi prof. Władysław Hendzel, uprzedził mnie, że obiecanej asystentury nie otrzymam, ponieważ została przeznaczona dla koleżanki z wydziału (córkę sędziego), która się w tym celu zapisała do partii. Nie zamierzałam z nią rywalizować w ten sposób, nie wstąpiłam do PZPR i rozpoczęłam poszukiwania pracy. Pół roku później wygrałam konkurs na staż w redakcji literackiej Polskiego Radia w Opolu i w połowie ostatniego roku studiów zostałam etatowym pracownikiem rozgłośni.

Dziennikarstwo radiowe było dla mnie rzeczą nową, poznawałam tę sztukę od podstaw. Z coraz większym entuzjazmem realizowałam programy literackie, które zdobywały słuchaczy. Początkowo nie zdawałam sobie jednak sprawy z poziomu upartyjnienia lokalnej rozgłośni. Kilka razy w roku byłam wzywana na „dywanik”, do redaktora naczelnego Romana Pillardego i słuchałam panegiryku na temat Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, który kończył się namawianiem do wstąpienia w jej szeregi. Nie uległam jednak presji, nie zapisałam się do partii, nie chodziłam na głosowania i zdarzyło mi się kiedyś nazwać wybory farsą niegodną mojego udziału. Niebawem w wyniku personalnych rozgrywek w zespole incydent ten wykorzystano przeciwko mnie. Komitet radiowy zajął się zbadaniem „postawy ideowej i obywatelskiej Reginy Wasiak”. Nie znaleziono mojego nazwiska na liście wyborczej (tylko raz w życiu głosowałam w PRL) co przesądziło, że zostałam usunięta z działu literackiego PR. Znalazłam przytułek w redakcji młodzieżowej. Równocześnie odebrano mi wymyślony przeze mnie lokalny program niedzielny, z czasem dosyć popularny i emitowany na antenie ogólnopolskiej.

W Opolskiej Rozgłośni Radiowej spotykałam m.in. Jana Smolińskiego, widywałam go wielokrotnie w czasie rozmów z dziennikarzami i pracownikami na dziedzińcu, przy innych okazjach w studio, czy też w radiowej taśmotece. Wykazywał duże zainteresowanie sprawami radia, imponował znajomością spraw technicznych emisji programów. Był osobą znaną mi już wcześniej; poznałam go bowiem w katedrze folklorystyki WSP, jako męża mgr Teresy Smolińskiej. To właśnie ta pani magister (dzisiaj profesor o liczącym się dorobku naukowym) przedstawiła nam swojego męża jako pracownika działu gospodarczego (sic!) w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. A on żartował z młodymi studentkami i zwierzał się, że ma „chody w paszportach i może służyć pomocą!”.

Moje kontakty z tym zakamuflowanym – jak się okazało po latach – pracownikiem Służby Bezpieczeństwa były przypadkowe (nie aranżowane jak podawał w swoich raportach), ale widywałam go często, ponieważ budynki milicji i radia mieściły się na sąsiednich ulicach. A poza tym – jak wspomniałam – regularnie odwiedzał rozgłośnię radiową i jej szefa, red. Pillardego – osobę znaną z wyjątkowego serwilizmu wobec Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Smoliński nigdy nie należał do moich bliskich znajomych, nasze rozmowy zazwyczaj toczyły się w obecności innych pracowników, a dotyczyły spraw radiowych, literackich, uczelnianych, rzadko rodzinnych.

Po wielu latach dopiero okazało się, że rola Jana Smolińskiego w radiu była zupełnie inna. Poza moją świadomością, jego „udział” w moim życiu urastał do monstualnych rozmiarów. Pisał on na mnie donosy, albowiem nie można inaczej nazwać streszczeń zasłyszanych rozmów, których był świadkiem a czasami uczestnikiem. Zapisywał je i umieszczał w swoich służbowych raportach, tak jak bym była na jego usługach. Relacjonował, dodawał od siebie, przeinaczał, konfabulował, a z tych raportów wynikało, że rozmawiał ze mną w protekcyjnym tonie: instruował, strofował, doradzał w jaki sposób mam najlepiej osiągnąć wyznaczone przez niego zadania. Potrafił też wymyślić całe spotkanie i nadać mu określony temat.

Oczywiście nie pisał do szuflady. Przekazywał swoje raporty na wyższe piętra, gdzie były czytane, analizowane i oceniane, a ich autor spokojnie czekał na awanse i gratyfikacje. Spłodził łącznie 38 raportów.

Dwa tygodnie przed ogłoszeniem stanu wojennego otrzymałam 4-tygodniowy urlop wypoczynkowy. Chciałam pojechać do Londynu, do siostry, aby spędzić z nią święta Bożego Narodzenia. Bez żadnej protekcji dostałam paszport oraz brytyjską wizę, a rano 13 grudnia 1981 r. dotarła do nas wiadomość o tragedii. Ten, kto przebywał w tym czasie na Zachodzie zapewne pamięta, jakim zainteresowaniem i sympatią cieszyli się wtedy Polacy. W Anglii dostaliśmy „wyjątkowe pozwolenie na pobyt”, a dzięki kolegom dziennikarzom z magazynu „Newsweek” otrzymałam trzymiesięczne stypendium. W szkole na Hampstead poznałam swojego przyszłego męża, nauczyciela języka angielskiego i po kilku miesiącach znajomości wyszłam za niego za mąż. Osobiste szczęście przesłoniła mi jednak wiadomość o chorobie mamy, wobec czego w okresie zawieszenia stanu wojennego pojechałam do Polski.

Jan Smoliński musiał wiedzieć o moim przyjeździe, bo dosłownie „deptał mi po piętach”. Kilkakrotnie spotkałam go na ulicy, zawsze bardzo prosił o rozmowę. Wreszcie zapytałam go, o co właściwie mu chodzi, gdyż sprawy radia i opolskiej uczelni przestały mnie już interesować. Dopiero wówczas się ujawnił. Powiedział, że awansował i już nie jest w dziale gospodarczym, tylko pracuje dla Służby Bezpieczeństwa KW MO. Z całą powagą oznajmił, że moją osobą interesuje się Warszawa, a ściślej wywiad Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Z trudem przyswajałam sobie te rewelacje! Ale największe zdziwienie wywołał fakt, że to nie ja byłam dla bezpieki atrakcją. Polski kontrwywiad interesował się bowiem moim mężem, wywodzącym się z rodziny brytyjskich dyplomatów. Smoliński niczego jednak nie wskórał, gdyż stanowczo odrzuciłam jego pomysły zrobienia ze mnie drugiej Maty Hari i zakończyłam znajomość. Ale na odchodne uprzedził mnie, że odwiedzą mnie funkcjonariusze z centrali.

Mój pobyt w kraju przeciągnął się z powodu choroby mamy. A esbecy nie próżnowali i pewnego dnia przed wejściem do mojego bloku mieszkalnego w Opolu zastąpili mi drogę dwaj smutni panowie w szarych prochowcach. Próbowali ze mną rozmawiać przez kilka kolejnych tygodni, obserwowali mnie z zaparkowanego w pobliżu samochodu. Zaniepokojona rodzina w Polsce i w Anglii postanowiła, że przyjaciele i krewni będą opiekować się mną na co dzień. Bardzo to się przydało, gdyż na Dworcu Centralnym w Warszawie (w drodze do brytyjskiego konsulatu) ponownie zaczepili mnie panowie w szarych prochowcach. Doszło do szamotaniny pomiędzy nimi, a oczekującym na mnie na stacji krewnym. Niewykluczone, że temu aktowi przemocy zawdzięczam, że od tego czasu nikt już mnie nie nękał. A przyjeżdżałam do Kraju co kilka miesięcy, aby opiekować się nieuleczalnie chorą mamą, która zmarła w maju 1985 r.

W Londynie powoli zapominałam o przykrościach minionego czasu. Polubiłam Anglię, poczułam smak wolności, doceniałam kulturę codziennego obcowania z ludźmi. Ponownie zaczęłam układać swoje życie, gdyż moje pierwsze małżeństwo się rozpadło. W 1989 r. poślubiłam w Old Brompton Oratory Martina Taylora, na świat przyszły nasze dzieci: Elizabeth i Stefan. Niebawem przekonałam się jak znakomitym partnerem jest mój szkocki mąż, zakochany nie tylko we mnie, ale również w kulturze polskiej. Przy nim mogłam zrobić znacznie więcej dla Emigracji i Polonii, wspólnie realizowaliśmy szkockie i polskie projekty kulturalne w Edynburgu, Krakowie i w Krapkowicach (z tej miejscowości pochodzę). Z własnego wyboru i dzięki nabytym umiejętnościom zostałam animatorem i działaczem kulturalnym. Udało mi się, jak sądzę, dużo osiągnąć na tym polu, a w kilku miejscach (jak mam nadzieję) pozostanie trwałe ślad mojej działalności (praca dla Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Sceny Poetyckiej w POSK-u, Salonu Literackiego w Ognisku Polskim, redagowanie od

1984 londyńskiego „Pamiętnika Literackiego”). Od 1985 roku przygotowałam dla Polonii brytyjskiej co najmniej 300 spotkań literackich i programów artystycznych.

Zdarzenia sprzed 30 lat powróciły do mnie zupełnie nieoczekiwanie. Stało się to 21 czerwca 2009 r. Okazało się, że w zbiorach Instytutu Pamięci Narodowej mam teczkę. W ciągu jednego dnia opolski lustrator, dr Zbigniew Bereszyński, przesłał na znane sobie adresy elektroniczne zawarty w niej materiał. Kilka miesięcy później ogłosił swoje oskarżenia pod sensacyjnym tytułem: *Esbecki cień we władzach Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie* („Kurier Brzeski” 2009, nr 28 [758], s. 7, 10-11). Do dra Bereszyńskiego wysłałam oświadczenie, którego nigdzie nie opublikował, natomiast w Londynie od razu znaleźli się ludzie, którzy wykonali chyba setki kopii tych dokumentów. I natychmiast przesłali je do krajowych i emigracyjnych organizacji, VIP-ów, uniwersytetów, pism naukowych i literackich.

Byłam tak przybita falą bezpodstawnych oskarżeń, że jako sekretarz Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie podałam się do dymisji. Zarząd ZPPnO nie przyjął mojej rezygnacji, a ówczesna prezes, Krystyna Bednarczyk, wraz z innymi osobami z Zarządu (Andrzej Krzeczunowicz, Juliusz Englert, Krzysztof Rowiński, Krystyna Kaplan) wydała następujące oświadczenie:

(...) podstawą do oskarżania ludzi o współpracę z agenturami PRL-u mogą być podpisane przez nich zobowiązania do współpracy lub sporządzane przez nich donosielskie raporty opatrzone podpisem, czy też pokwitowania odbieranych przez nich pieniędzy; w przypadku Reginy Wasiak-Taylor w/w autor opracowania [Zbigniew Bereszyński – przyp. RWT] nie opierał się na żadnym z tych dowodów i nie przedstawił żadnego dowodu potwierdzającego oskarżenie.

Prawie rok później i to dopiero na skutek interwencji Ambasady RP w Londynie, otrzymałam pozwolenie z Instytutu Pamięci Narodowej na zapoznanie się z moją teczką. Nie była zbyt obszerna, zawierała głównie raporty kpt Smolińskiego, moje dane osobowe i kilka donosów na mnie. W opolskim oddziale IPN dowiedziałam się, że każda esbecka kartoteka musiała być oficjalnie zgłoszona (ja byłam określona w dokumentach jako „kontakt operacyjny” k.o.) przez funkcjonariusza i to bez względu na to, czy planowano z niego zrobić informatora jawnego czy też nieświadomego swojej roli. Okazuje się, że takiego dokumentu z moim nazwiskiem w ogóle tam nie ma!

Pracownikowi IPN pokazałam teczkę przywiezioną z Londynu, ze szkalującymi mnie materiałami wytworzonymi przez moich adwersarzy. Była trzykrotnie grubsza od tej z IPN-u. Historyk był zdziwiony. Dlaczego? Bo spośród półtora tuzina dziennikarzy radia opolskiego – a chyba wszyscy mają swoje kartoteki i tečky w IPN – aż pięcioro było tajnymi współpracownikami SB i nikt – podkreślam NIKT – z tej piątki nie doczekał się takiej literatury przedmiotu jak ja.

Świadców mojej niewinności nie szukałam, ale jestem w posiadaniu listu Jana Smolińskiego, w którym człowiek ten przeprasza mnie „za wyrządzone przykrości”. W typowy dla funkcjonariuszy bezpieki sposób, wyjaśnia on cele inwigilacji przez SB, którym było nadrzędne „dobro narodu”. I dalej usprawiedliwia własne postępowanie w stosunku do mnie, kiedy zbierał i spisywał informacje samowolnie „poza wiedzą zainteresowanego, bez pytania o zgodę”. Ale kogo to dzisiaj obchodzi? Funkcjonariuszom SB pozwala się spokojnie żyć, a ich ofiarom, ludziom nieświadomym niczego, niszczy się życie.

Dr Zbigniew Bereszyński, historyk-lustrator, pochylił się nad raportami funkcjonariusza SB z prawdziwym nabożeństwem i zrobił swoje, tzn. opisał dokumenty odnalezione w IPN, opatrując je komentarzem, który uwiarygodniłby jego trud. Ale zgodnie z kwerendą musiał odnotować: **„Nie zachowały się jednak żadne dokumenty z jej podpisem, poświadczające w bezpośredni sposób nawiązanie przez nią współpracy z SB. Wszystkie dokumenty z teczki KO ‘RW’/’Kasia’ zostały wytworzone przez samych funkcjonariuszy SB, w związku z czym nie ma absolutnej pewności co do tego, jak naprawdę wyglądały relacje między Reginą Wasiak a Służbą Bezpieczeństwa** („Kurier Brzeski”, op.cit., s.7). Atakujący mnie pomijają ten fragment wypowiedzi Bereszyńskiego. Nie cytują go, bo to popsułoby całą zniesławiającą mnie nagonkę.

To strzelanie do wróbla z armaty, prowadzone jest w znacznej mierze przez ludzi, którzy 10 grudnia 2009 r. chcieli przejąć Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. I do tej pory robią wszystko, aby jego Zarząd, na czele z prezesem Andrzejem Krzczunowiczem (przez 34 lata redaktor, a później wicedyrektor Radia Wolna Europa w Monachium, dyrektor Biblioteki Polskiej w Paryżu, ambasador RP przy NATO i królu Belgów) zdyskredytować w oczach opinii publicznej w Kraju i na Emigracji. Skromna dziennikarka znad Odry i Tamizy (a za taką się uważam) stała się

bohaterką taszemcowych omówień w polonijnych mediach. Prawdziwy casus znajduje się w tomie II rocznika „Ekspresje” wydawanego przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich za Granicą; tekst poświęcony polskiemu nobliście (i to w Roku Miłosza!) liczył tylko 12 stron, natomiast obelgi i insynuacje pod moim adresem i kolegów ze Związku Pisarzy rozrzucone są na 39 stronicach.

Dziś bardziej niż kiedykolwiek czuję się ofiarą polityki i historii, poszkodowaną przez dwa odmienne systemy. Ten komunistyczny z epoki PRL złamał moją karierę zawodową, a dzisiejszy zezwala budować prawdę historyczną opartą na kłamstwach poprzedniego.

Na zakończenie pragnę jeszcze raz wyraźnie podkreślić, że **nigdy nie byłam tajnym, jawnym, ani jakimkolwiek innym współpracownikiem służb specjalnych w PRL, nie należałam do PZPR, nie podpisałam żadnego dokumentu n.t. współpracy, nie brałam pieniędzy od bezpieki, nie byłam świadomym informatorem SB, nie donosiłam na nikogo.**

Przez pięć lat nie napisałam żadnego oświadczenia i nie tłumaczyłam się w mediach ze stawianych mi zarzutów. Wydawało mi się rzeczą niestosowną dowodzić spraw oczywistych. Ale dzisiaj nie mam złudzeń, że nawet po tym „Liście” moi adwersarze nadal będą czynni. Dla wielu z nich rzucanie kamieniami w innych, oskarżanie ludzi o sprawy realne i wyimaginowane, jest głównym celem ich „społecznej” działalności. Odpisywać na kolejne ataki nie zamierzam, pragnę jednak tą drogą podziękować wszystkim moim przyjaciółom, znajomym i nieznanym, którzy podtrzymywali mnie na duchu, wspierali moralnie i starają się zachować przyzwoicie. Dziękuję im za to z całego serca.

Regina Wasiak-Taylor

Londyn, 10 stycznia 2015

PS. Od dra Zbigniewa Bereszyńskiego otrzymałam niedawno list z informacją na temat weryfikacji politycznej opolskich dziennikarzy w stanie wojennym. ...*była Pani* – pisze opolski lustrator – *jedną z dwóch osób, które postanowiono zwolnić z*

pracy w opolskiej rozgłośni Polskiego Radia. Tym samym znalazła się Pani w gronie osób najbardziej poszkodowanych w wyniku postępowania weryfikacyjnego. Decyzję podjęła komisja weryfikacyjna z udziałem znanego Pani funkcjonariusza SB, por. Jana Smolińskiego, oraz jego przełożonego, mjr. Józefa Gawrysia, naczelnika Wydziału II KW MO. W uzasadnieniu decyzji pisano, że jest Pani „pracownicą niezdyscyplinowaną i miała powiązania z Solidarnością”. Myślę, że to fakt o istotnym znaczeniu dla całokształtu sprawy działań SB wobec Pani osoby.